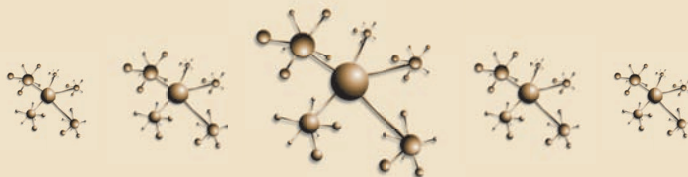


wych zespołach i grupach roboczych przygotowujących ten projekt. Prof. Reinhard Kulesa jest przedstawicielem Polski w Międzynarodowym Komitecie Sterującym, prof. Andrzej Warczak reprezentuje Polskę w Zespole do spraw Naukowo-Technicznych, a prof. Zbigniew Majka jest dyrektorem do spraw badawczych Tymczasowego Kierownictwa FAIR, odpowiedzialnym za koordynowanie przygotowań przyszłych eksperymentów.

Plany rozwoju Instytutu Fizyki dotyczą również jego podstawowej bazy lokalowej. W związku z nowymi wyzwaniem badawczymi i dydaktycznymi, jakie stoją przed Instytutem i całym Wydziałem FAIS, planuje się przeniesienie Instytutu Fizyki do nowej siedziby Wydziału na III kampusie UJ. Jest to

warunek konieczny, aby fizyka na Uniwersytecie Jagiellońskim mogła się dalej rozwijać. Obecny budynek, przy ul. Reymonta 4, jest już za ciasny, a rozwiązania techniczne starych laboratoriów nie spełniają wymogów współczesnej aparatury badawczej oraz wyposażenia dydaktycznego. Trwają prace projektowe nad nowym, nowoczesnym budynkiem, spełniającym wszystkie normy techniczne XXI wieku. Autorem jego koncepcji architektonicznej oraz wykonawcą projektu jest firma WASKO-Projekt z Krakowa. Rozpoczęcie prac budowlanych planowane jest na rok bieżący.

Andrzej Warczak



GAWĘDA O PAPIE

Był naszym Mistrzem. Chciałem napisać, że nazywaliśmy Go Papą. Ale byłaby to nieprawda. On był naszym Papą.

Richard Rhodes w swej książce *Jak powstała bomba atomowa*, zastanawiając się nad fenomenem pojawienia się mistrzów naukowców zajmujących się bombą atomową, pisze: *Charakterystyczny jest fakt, że prawie połowa tych naukowców podaje, iż w dzieciństwie byli*

pozbawieni ojca: „ich ojcowie albo wcześniej zmarli, albo pracowali daleko od domu, albo byli tak oddaleni i tak mało opiekuńczy, że ich synowie prawie ich nie znali. [...] Często pozbawieni ojców, nieśmiali, samotni” – pisze psychometryk Lewis M. Terman (w „Scientific American” 1955) – „opóźnieni w rozwoju społecznym, niezainteresowani bliskimi stosunkami osobistymi, działalnością grupową czy polityczną, ci niezwykle inteligentni młodzi ludzie znajdowali drogę do nauki w bardzo osobisty sposób; zazwyczaj kierowali się przyjemnością czerpaną z samodzielnych badań. Przewodnikiem w tych badaniach był zwykle ojcowsko usposobiony nauczyciel” (H.B. Goodrich et al., „Scientific American” 1951). Zdaniem studentów charakterystyczną jego cechą nie była umiejętność nauczania, lecz „autorytet, serdeczność i zawodowa godność”. Autor studium o dwustu takich wychowawcach stwierdził: „Wydaje się, że przyczyną sukcesów tych nauczycieli była głównie umiejętność odgrywania w stosunkach z uczniami roli ojca”. Pozbawiony ojca

młody człowiek znajduje u obdarzonego autorytetem nauczyciela namiastkę serdecznego i pełnego godności ojca, identyfikuje się z nim i zaczyna go gorliwie naśladować. W późniejszym stadium tego procesu samodzielny naukowiec dąży do tego, by samemu stać się wychowawcą historycznego formatu.

I to był również przypadek nasz, uczniów Papy Niewodniczańskiego.

Wszyscy – Jerzy Janik, Andrzej Hrynkiewicz, Danuta Kunisz, Kazimierz Grotowski, Andrzej Budzanowski czy ja – wychowywaliśmy się bez ojców. To były ciężkie czasy. Nasi ojcowie zmarli wcześniej, zginęli na wojnie, zostali zamordowani w Katyniu czy tułali się gdzieś po świecie. Papa niewątpliwie zastępował każdemu z nas w jakiś sposób tego nieobecnego ojca. Był dla nas wzorem, autorytetem, ale też w naszym gronie wytwarzał atmosferę silnych więzi i rodzinnego ciepła.

Wpływ jego był ogromny. I to nie tylko w nauce, w pracy, w badaniach, lecz w całym naszym życiu. Ot,

gdy gdzieś wyjeżdżaliśmy za granicę, na staże naukowe, spotkania, konferencje – udzielał nam zawsze przeróżnych rad. A my, fizycy, podróżowaliśmy już wtedy dużo. Istniało nawet hasło utworzone na wzór reklam biur podróży i agencji turystycznych: „See the world! Join physics!”.

A Papa już przed wojną był dużo w świecie. Urodził się na Litwie, w zaborze rosyjskim, dzieciństwo spędzał częściowo



W roku 1966 prof. Niewodniczański pojechał ze swymi współpracownikami Kazimierzem Grotowskim i Adamem Strzałkowskim na konferencję fizyki jądrowej w Gattlinburgu (USA). Po konferencji wynajętym samochodem pojechali zwiedzać Stany i odwiedzić swych przyjaciół w różnych instytutach fizyki

na Białorusi, staże naukowe w Niemczech i Anglii, wakacje – w Szwajcarii i Francji. Doświadczenie miał duże. Tyle że trochę niedzisiejsze. Gdy wyruszyliśmy do Związku Radzieckiego, pouczał nas na przykład:

– *Pamiętajcie, kulegzy, że znakomita jest осетрина заливная под хреном. Koniecznie musicie spróbować!*

Tylko że profesor pamiętał tę *осетрину* jeszcze z carskich czasów, a gdzie to było ją dostać w sowieckiej Rosji.

Pamiętam, że gdy na konferencję cyklotronową zorganizowaną przez nas w Krakowie przyjechał wśród delegacji rosyjskiej prof. Własow, zadałem mu stereotypowe pytanie, jak mu się u nas podoba. Podobało mu się bardzo,

a zwłaszcza to, że tutaj wszyscy mówią gorzej od niego po rosyjsku.

– *Widzicie, ja pochodzę z prostych ludzi i mój język jest dość prymitywny. A tu wszyscy gorzej ode mnie mówią po rosyjsku! Но с одним исключением: Ирина Романовна, Пани Неводничанска!*

Pani Irena jeszcze w Sankt Petersburgu uczyła się w Maryjskim Instytucie, potem studiowała rusycystykę, była lektorką języka rosyjskiego i władała wspaniałym, i to współczesnym, rosyjskim.

– *Но а Професор Неводничанский? –* zapytałem Własowa.

– *Он говорит прекрасно! Но как белогвардеец!*

Tak i to było z tą *осетриной*. Niemal obsesyjnie poszukiwałem jej podczas moich dość częstych pobytów w ZSRR. I wreszcie... W roku 1960 w Moskwie zorganizowana była Wszechzwiązkowa Wystawa Osiągnięć Gospodarki Sowieckiej. I wreszcie w jednej z licznych restauracji na terenie wystawy znalazłem tego jesiota. Rzeczywiście był znakomity!

Radę udzielaną nam przez Papę przy wyjazdach do zachodniej Europy sprawdzały się już lepiej. Profesor mówił:

– *Pamiętajcie, kulego, że w pociągach w Anglii nie ma u drzwi klamek wewnątrz wagonu. Żeby wysiąść, należy spuścić szybę, wychylić się przez okno i dopiero z zewnątrz otworzyć drzwi.*

To zgadzało się znakomicie. Dzięki temu udało mi się kiedyś ocalić jakiegoś mieszkańca Kontynentu. Mój przyjaciel i szef jeszcze ze stażu w Liverpoolu, Brian Hird, który przeniósł się później do Londynu, mieszkał na wsi pod miastem. Zaprosił mnie kiedyś na tę wieś do siebie. Jechałem podmiejskim pociągiem, złożonym z antycznych wagonów, w których każdy przedział miał wyjście na zewnątrz, a konduktor w biegu pociągu chodził po długim stopniu wzdłuż wagonów na zewnątrz, sprawdzając bilety. Jechał ze mną w przedziale jakiś Francuz. Miał wysiąść na małej podmiejskiej stacji. Widziałem jego przerażenie, gdy stwierdził, że drzwi przedziału nie mają klamki. Już usiłował wydostać się przez okno. I wtedy, zgodnie z instrukcją Papę, odsunąłem go od drzwi, otworzyłem okno, wychyliłem się i zewnętrzną klamką otworzyłem przedział, ratując w ten sposób mojego współpasażera.

Profesor pouczał nas nie tylko radami, ale i przykładem. Kiedyś w Paryżu zaproponował:

– *Chodźmy do kabaretu!*

Kabaret nazywał się Molière przy Rue Molière. Był naprawdę dobry. Konferansjer prowadził prezentację panienek z dobrą fabułą, ale na wstępie pytał różnych widzów o narodowość.

– *Kulego –* powiedział profesor – *jak nas zapyta, to powiem, że my Litwiny!*

I tak się stało. Co się wtedy działo! Tu rozbierają się śliczne dziewczęta, a cała sala patrzy tylko na nas, bo konferansjer co chwilę mówi: – *Bo te nasze Litwiny...*

Wyszliśmy późną nocą z kabaretu przy Rue Molière, a Papa mówi:

– *Tak mi, kulego, przykro, że ich pobujaliśmy. Bo ja jestem Litwinem, ale wy nie!*

Jeszcze tylko tego brakowało, żebym się przyznał, że ja Tatar!

W czasie pobytu z profesorem w Paryżu w 1963 roku mieszkaliśmy w hotelu Taranne przy bulwarze St. Germain. Papa mnie znowu pouczał:

– *Kulego, we Francji nie piją herbaty, a kawa jest strasznie paskudna.*

– *To co mam pić na śniadanie? –* pytałem.

– *Czekoladę, zamówcie, kulego! Czekoladę!*

I rano przy śniadaniu w hotelu, gdy zjawił się kelner, pytając, co sobie życzę do śniadania,

zażądałem pewnym głosem czekolady. Kelner uśmiechnął się jakoś dziwnie, ale po chwili przyniósł tę filiżankę czekolady, a nachylając się nade mną, szepnął konfidencjonalnie:

– *Monsieur, we Francji tylko dzieci piją czekoladę.*

A z hotelem Taranne było tak:

Przylecieliśmy do Paryża 1 maja. Na lotnisku profesor namówił mnie, aby odebrać bagaż dopiero w terminalu w mieście przy placu Inwalidów. 1 maja jest jednym z najbardziej uroczystych dni w Paryżu. Nikt nie pracuje, ludzie spacerują po ulicach, panowie mają bukietki konwalii w butonierkach. Metro jakoś w ograniczonym zakresie kursowało, ale o taksówkach nie było mowy. Profesor zamarzył sobie, że zamieszkamy w hotelu Regina, w którym rezydował rząd Sikorskiego po przyjeździe do Francji we wrześniu 1939 roku. Okazało się jednak, że hotel jest nieczynny, zaczęliśmy zatem szukać innego lokum. Nie było to proste *per pedes*. Profesor miał zawsze spory bagaż. Jak mi opowiadał, jeszcze z czasów dzieciństwa lubił mieć wszystkiego po parze. Pamiętam, że lubił wozić z sobą maszynę do pisania. Kupił sobie specjalnie niewielką do podróży, ale że musiał mieć wszystko do pary, więc woził jeszcze drugą – już znacznie większą i cięższą. W Paryżu nie miał co prawda tych maszyn, ale walizę miał sporą. Uważałem, że nie mogę mu pozwolić targać tej walizy w naszej pielgrzymce po hotelach, więc obok swego niewielkiego bagażu taszczyłem również ją. Było gorąco, hotele nam nie odpowiadały. W pewnym momencie, już na bulwarze St. Germain, postawiłem na chodniku te walizki i powiedziałem:

– *Pan Profesor jest z innej epoki, ale ja już nie mogę. Po prostu nie mam siły.*

Staliśmy przed hotelem Taranne. Papa spojrział w górę na tablicę umieszczoną na ścianie i wykrzyknął:



Prof. Niewodniczański na lotnisku Le Bourget w czasie naszej wyprawy do Paryża w 1963 r.

– *Patrzcie, kulego! Tutaj mieszkał Lelewel! No, jeżeli mieszkał tu mój kulega z wileńskiego uniwersytetu, to i my musimy tu zamieszkać.*

I zamieszkaliśmy. Gdy ostatni raz byłem w Paryżu w roku 1994, zaszedłem na bulwar St. Germain. Hotel Taranne był w remoncie. Zniknęła tablica upamiętniająca pobyt w nim Lelewela. Nie wiem, czy tylko na czas remontu, czy potem wróciła.

A nasza pielgrzymka po tych różnych hotelikach w Paryżu była strasznie zabawna. Przed wojną dziennikarz Wilhelm Raort wydał książkę *I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu* ze swoimi paryskimi reportażami. Opisuje w niej barwnie różne paryskie hotele. Twierdził, że charakterystyczną w nich rzeczą była zawsze kanapa, zupełnie płaska, a gdzie ma leżeć głowa – poznać było tylko po tłustej plamie, podczas gdy po przeciwległej stronie, gdzie powinny spoczywać nogi, była kupa błota. W hotelikach zwiedzanych przez nas z profesorem były – a jakże – takie kanapy, ale najdziwniejszą rzeczą była w jednym z nich ustawiona dokładnie na środku pokoju budka. Był to klozcek!

O Raorcie nikt już dzisiaj nie pamięta. A pisał zabawnie. Przypominał w jednej ze swych książek, że ktoś go kiedyś tytułował biskupem. Początkowo nie mógł tego zrozumieć, ale w końcu sobie skojarzył: nazwisko Raort pomyliło się jego rozmówcy z Or-Otem, co było pseudonimem Artura Oppmana. A Oppman pisał o starej Warszawie; pisał o niej też Kraszewski, a znowu nazwisko Kraszewskiego pomyliło się temu interlokutorowi z Krasickim, a Krasicki był przecież biskupem...

Wańkowicz pisał, że tak właśnie powstawała staropolska gawęda. Coś tam szlachciura opowiadał, w trakcie tego opowiadania przypominał mu się inny wątek, a znowu kojarzyło się coś zupełnie innego, co miało związek z innym wspomnieniem – i tak snuła się gawęda.

A z Wańkowiczem to było tak: Wracaliśmy kiedyś pociągiem nocą z Papą z jakiegoś posiedzenia. Już na swoim posłaniu czytałem Wańkowicza *Tędy i owędy*.

– *Co, czytacia, kulego?* – zapytał profesor.

– *Wańkowicza.*

– *A cóż tam pan Mel pisze?*

Zacząłem opowiadać. I tak przeszło pół nocy.

Profesor nie lubił specjalnie czytać. Był ciągle zajęty, miał temperament raczej niesprzyjający lekturze. I tego Wańkowicza nigdy nie przeczytał. Ale po jakimś czasie słyszałem, jak komuś opowiadał te historyjki, które mu kiedyś streściłem w pociągu. I słuchałem z rozdziawioną gębą. Jak on to wspaniale robił!

Papa był urodzonym gawędziarzem. We w wrześniu 1966 roku pojechałem z Papą Niewodniczańskim i Kazikiem Grotowskim do USA na konferencję do Gatlinburga. Po konferencji mieliśmy odwiedzić kilka amerykańskich ośrodków fizyki. I namówiliśmy profesora do odbycia tej podróży wynajętym samochodem. Przejechaliśmy w sumie ponad pięć tysięcy mil i spędziliśmy w tym samochodzie mnóstwo godzin. Profesor ciągle coś opowiadał. I mimo że przecież stale w naszej pracy z nim przebywaliśmy – pewnie więcej niż z naszymi rodzinami – to słuchaliśmy z niesłabnącym zainteresowaniem jego gawęd, w których ciągle było coś nowego.

Z Melchiorzem Wańkowiczem znali się i chyba lubili. Kiedyś w czasie pobytu w Warszawie poszliśmy z Papą do hotelu przy Kruczej na obiad.

– *Patrzcie, kulego* – powiedział w pewnym momencie profesor.

– *Wchodzi pan Mel z panią Zofią.*

Wańkowicz też zauważył profesora i podszedł do naszego stolika się przywitać. Patrzyłem z podziwem na tych dwóch wspomniałych „żubrów litewskich”. Wańkowicz, witając się, uważnie mi się przyjrzał, ale potem ewidentnie stracił zainteresowanie. Krzysztof Kąkolewski w swojej książce *Wańkowicz krzepi* pisze, że jako rasowy reporter Melchior Wańkowicz każdemu nowo poznanemu osobnikowi okazuje swe zainteresowanie, rozważając, czy i jak mógłby go wykorzystać w jakimś swoim reportażu.

A znowuż Kąkolewski...

Ale czas już przerwać, bo gawędę o Papie mógłbym – a może powinienem? – kontynuować na całą książkę.

Adam Strzałkowski

